Rafał A. ZIEMKIEWICZ

POLSKA FANTASTYKA - SPOTKANIE TRZECH POKOLEŃ

Fantastyka była w PRL szczeliną, w której znaleźli azyl ludzie twórczy, zatroskani teraźniejszością i przyszłością, nawykli do analizowania różnych historycznych sytuacji i oglądania świata z różnych punktów widzenia. Dzisiaj ten zgromadzony wówczas ludzki i intelektualny kapitał procentuje.

James Graham Ballard określił ją mianem „literatury przezroczystej". Niby istnieje, ma zapalonych zwolenników, ale przez ludzi z zewnątrz rzadko bywa dostrzegana, a jeśli – to poprzez dalekie od prawdy stereotypy. Czasami wychodzi jej to na dobre – i tak właśnie stało się w dwóch ostatnich dekadach istnienia PRL.

Mowa o fantastyce, czy też, jak to się dawniej przyjęło określać: science fiction. Zachodni literaturoznawcy poświęcili jej wiele prac, opisując ją jako zjawisko raczej kulturowe niż literackie. Ale nie przeszkadza im to zaliczać wielu wywodzących się z tego obszaru pisarzy do kanonu anglojęzycznej prozy XX wieku (by wymienić tylko Raya Bradbury'ego, Philipe'a K. Dicka, Ursulę K. Le Guin czy Kurta Vonneguta jr.).

Na Zachodzie jednak, zwłaszcza w USA, krytyk jest po prostu badaczem, dla którego analiza „mydlanych oper" może być równie ciekawa, a może nawet ciekawsza, niż analiza wierszy uhonorowanych Noblem. W Polsce natomiast krytyk czuje się przede wszystkim „arbitrem elegancji", promotorem i kapłanem Sztuki, który samym swym zainteresowaniem nobilituje utwór, autora oraz jego środowisko. Dlatego też polska krytyka od lat konsekwentnie stara się fantastyki nie dostrzegać[1]. Moim zdaniem powinna tego żałować: przez ten dziwny dąs przeoczyła okazję równie rzadką i ciekawą, jaką na przykład dla geologów byłaby możliwość obserwowania na własne oczy procesu wypiętrzania się wulkanu. Straciła okazję prześledzenia, jak literatura użytkowa, konwencjonalna, o ambicjach ograniczonych do rozrywki, dydakty-

[1] Wyjątkiem jest twórczość Stanisława Lema, ale i o niej nasi literaturoznawcy dowiedzieli się dopiero z krytycznoliterackich kwartalników niemieckich. Zresztą Lem, być może także wskutek okazywanego mu lekceważenia, sam bardzo głośno odżegnywał się od swych korzeni, co pozwoliło krytykom rozgrzeszyć się z nieuwagi zgrabnym frazesem: „mimo pozornej przynależności do konwencji SF, jest to literatura wartościowa..."

ki i stawiania paranaukowych hipotez, gwałtownie awansuje, biorąc nagle na siebie zadania, wydałoby się, wielokrotnie przekraczające jej możliwości.

OD GERNSBACKA DO CAMPBELLA

Ujmując rzecz od strony historycznoliterackiej, science fiction (SF) narodziła się z połączenia tendencji do wybiegania myślą w przyszłość, oświeceniowej fascynacji postępem technicznym i rozwojem nauki oraz pozytywistycznego scjentyzmu. Za jej prekursorów i klasyków przyjęło się uważać Julesa Verne'a i Herberta George'a Wellsa[2], jednak osobne zjawisko kulturowe uczyniła z niej amerykańska literatura popularna. Za sprawą Hugo Gernsbacka, wydawcy jednego z popularnych magazynów, Verne'owski „romans naukowy" zamienił się w SF, taką, jaka do dziś kojarzona jest potocznie z tym określeniem: uprawdopodobnioną naukowo (lub częściej pseudonaukowo) baśń o kosmicznych rakietach, robotach i kosmitach. Nie jest przypadkiem, że taka forma fantazjowania, oferowanego w obiegu literatury popularnej, a nie – jak dotąd – wysokiej, zaistniała właśnie w USA, w kraju, gdzie po raz pierwszy pojawiły się taśmy fabryczne, domowy sprzęt zmechanizowany czy sieci telewizyjne. Ameryka Północna była w początkach stulecia krajem najbardziej zwróconym w przyszłość, przekonanym, iż niesie Złoty Wiek dla ludzkości – a zarazem krajem, w którym postęp techniczny najszybciej i na najszerszą skalę wkroczył w życie szarego, prostego człowieka, zmieniając je na lepsze.

Poetyka, zaproponowana przez Gernsbacka, została doprowadzona do doskonałości w latach czterdziestych i pięćdziesiątych naszego wieku przez Johna W. Campbella, czołowego wydawcę i animatora klasycznej SF. Oczyścił on fantastykę naukową z elementów romansu oraz powieści awanturniczej i narzucił jej solidne wymagania, nie artystycznej wprawdzie, ale merytorycznej natury. Był to przede wszystkim wymóg naukowego prawdopodobieństwa. Klasyczna, Campbellowska SF nie uwodzi czytelników sensacyjnymi fabułami, wątki miłosne są w niej prawie nieobecne, bohaterowie zaś wydają się bladzi i stereotypowi. Jej silną stroną jest natomiast projektowanie zastosowań dla jeszcze nie opracowanych technologii. Autorzy SF współtworzyli wiele spośród mitów współczesnej kultury popularnej: to oni zarazili ludzkość marzeniem o lotach kosmicznych, wymyślili telewizję satelitarną, komputery i dziesiątki rozmaitych wynalazków. Sam Campbell do końca życia za swój najwięk-

---

[2] Do tej listy należałoby dołączyć także Jerzego Żuławskiego, którego trylogia *Na Srebrnym Globie – Zwycięzca – Stara Ziemia* mogłaby równie zapładniająco wpłynąć na wyobraźnię pisarzy przełomu wieków. Niestety, to znakomite dzieło nie zaistaniało poza polskim obszarem kulturowym.

szy sukces uważał wydrukowanie w 1942 roku opowiadania o budowie nowego rodzaju broni wykorzystującej energię rozszczepionego jądra atomu. Opowiadanie podawało szczegóły technologiczne tak bliskie temu, nad czym pracowali uczestnicy tajnego „Projektu Manhattan", że autor i wydawca zostali zatrzymani przez FBI pod zarzutem szpiegostwa.

Klasyczna SF była swoistą zabawą naukowców, inżynierów i młodych entuzjastów nauki – jeśli można to tak określić: „igraszką ścisłego umysłu". Pisali i czytali ją zazwyczaj ludzie profesjonalnie związani z naukami ścisłymi, studenci i młodsi pracownicy naukowi. Specyficzna tematyka opowieści narzuciła specyficzną formę ich pisania i odbioru – autorzy SF całkiem otwarcie czerpali od siebie nawzajem, korzystali z tej samej, wspólnej składnicy rekwizytów, scenerii i wątków fabularnych. Było to warunkiem rozwoju: prekursorzy „romansu naukowego" musieli poświęcać znaczną część każdego utworu na uprzystępnienie czytelnikowi fantastycznego świata i tłumaczenie go nawet poprzez wplatane w tekst rysunki i wykresy. Dopiero dzięki upowszechnieniu się w klasycznej SF zasady „serialowości", ich następcy mogli w penetrowaniu budowanego wspólnym wysiłkiem uniwersum pójść znacznie dalej. Zapłacili jednak za to zamknięciem się na długie lata w „getcie SF", w kręgu zaprzysięgłych zwolenników rozumiejących zasady gry w pół słowa. Dla ludzi spoza tego kręgu ich produkcje były po prostu niezrozumiałe; wejście do grona miłośników SF wymagało swoistego wprowadzenia, zapoznania się z kanonem lektur, bez których niemożliwy był odbiór nowo powstałych utworów[3]. Stąd czytelnicy SF („fanowie" – jak przyjęło się mówić w środowisku) przejawiali zawsze nieporównywalnie silniejszą, niż odbiorcy innych popularnych gatunków, skłonność do zrzeszania się w klubach i federacjach (czyli w tzw. fandomie), wydawania amatorskich pism (fanzinów) oraz organizowania krajowych i międzynarodowych zjazdów (konwentów).

Wiele utworów, uważanych dziś za klasyczne i ważne w rozwoju fantastyki, pozostawało w tym czasie poza obiegiem magazynów i kieszonkowych serii w kolorowych okładkach. Częściowo poza nim istniał fantastyczny horror i tak zwana fantasy, czyli odmiana fantastyki rezygnująca z pozorów naukowego prawdopodobieństwa[4]. Całkowicie w „wysokim" obiegu literackim funkcjonowały antyutopie Huxleya, Orwella czy Stapledona. Utwory te były wciągane

---

[3] Opis takiego „nawrócenia" i inicjacji w SF zawarła m.in. Vera Graaf w przedmowie do książki poświęconej klasycznej SF: *Homo futurus* (Warszawa 1975, PIW, Biblioteka Krytyki Współczesnej).

[4] Fantastyka tego rodzaju miała swoje magazyny (np. amerykanski „Weird Tales", założony dziesięć lat przed „Amazing Stories" Gernsbacka) i serie książkowe, nie wytworzyła jednak tak zamkniętego grona odbiorców i w miarę odchodzenia SF od naukowości, łączyła się z nią: zawsze zresztą traktowano ją jako ten sam segment rynku. Obecnie w praktyce wydawniczej nie oddziela się SF od fantasy.

w obręb „getta" i uznawane za „swoje" przez fandom dopiero w późniejszym czasie, w ramach stopniowej ewolucji gatunku, która doprowadziła do jego otwarcia – mówiąc najprościej do przemiany science fiction w fantastykę.

W SŁUŻBIE POPULARYZACJI

Mimo znakomitej tradycji twórczości Żuławskiego i Grabińskiego, polska fantastyka więcej zawdzięcza amerykańskiej SF niż rodzimym prekursorom. W czasie zaborów, choć generalnie literatura nasza wyznaczała sobie wtedy inne zadania, znalazło się w niej miejsce zarówno na adresowane głównie do młodzieży „romanse naukowe" w typie Verne'a[5], jak i na pogłębioną refleksję nad przyszłością. Jednak w okresie międzywojennym Polska była krajem nazbyt cywilizacyjnie zacofanym, aby mogła się pojawić podobna do amerykańskiej, popularna SF, zafascynowana postępem wiedzy i techniki. Te same impulsy, które stworzyły ją w USA, u nas inspirowały awangardową poezję futurystów i poezję grupy Peipera – rzecz po prostu dotyczyła zbyt wąskich kręgów społecznych. Natomiast w rolę pełnioną w Ameryce przez SF weszły w międzywojennej Polsce awanturniczo-przyszłościowe romanse o wymarzonej polskiej mocarstwowości, odpieraniu najazdu hord ze Wschodu i przeciwdziałaniu knowaniom obcych wywiadów, usiłujących wykraść genialne wynalazki rodzimych naukowców lub inżynierów[6]. Wszystko to pozostawało na marginesie naszej literatury. Taka sytuacja utrzymywała się także w pierwszych latach powojennych, zanim literatura popularna nie została całkowicie eksterminowana w ramach socjalistycznej polityki kulturalnej państwa.

Na tym tle pojawiło się po wojnie kilku prekursorów science fiction, z których jedynie Stanisław Lem, czerpiący inspirację głównie z twórczości Żuławskiego i Wellsa, zdołał zająć trwałą pozycję w ówczesnym życiu literackim (jak zresztą wynika ze wspomnień pisarza, decyzja ostatecznego poświęcenia się fantastyce w dużym stopniu była skutkiem przypadku i zablokowania przez wydawniczą cenzurę jego prozy współczesnej). Mniej fortunni rówieśnicy Lema dość szybko zniechęcali się i milkli, przechodząc do dziennikarstwa lub twórczości popularnonaukowej; część z nich wróciła do fantastyki w latach siedemdziesiątych.

[5] Wśród tego typu prozy zwraca uwagę kilkanaście powieści Władysława Umińskiego, łączącego przygodową fabułę – głównie podróżniczą – z rozbudzaniem zainteresowania nauką i techniką oraz umiejętnie przemycanym kształtowaniem postaw patriotycznych.

[6] Z niezliczonej gęstwy brukowych wydań wymieńmy tylko powieści takie, jak: *A gdy komunizm zapanuje* i *Wyspa Lenina* Edmunda Jezierskiego, *Huragan od wschodu* Wacława Niezabitowskiego czy *Czandu* Stefana Barszczewskiego; po wojnie przykładem tego typu piśmiennictwa jest socjalistyczna utopia Zygmunta Sztaby *Giełda przestaje notować*.

Natomiast pojawienie się w Polsce odpowiednika Campbellowskiej, „serialowej" SF było zasługą niestrudzonego popularyzatora nauki i techniki, Zbigniewa Przyrowskiego, i początkowo nie miało ono nic wspólnego z literaturą. Przyrowski, który w połowie lat pięćdziesiątych wydawał czasopismo „Młody Technik", dowiedział się po prostu, iż na wielu zachodnich uczelniach technicznych zachęca się studentów do czytania i pisania fantastyki naukowej. Uznawszy, że to dobra metoda rozwijania technicznych zamiłowań i ścisłego myślenia, zaczął zamawiać tego rodzaju opowiadania u krajowych autorów. Początkowo szło to niezwykle opornie, ale z czasem SF stała się nieodłączną częścią pisma, a sam „Młody Technik", organizujący konkursy i zbierający swe najlepsze publikacje w antologiach, skupił sporą „stajnię" autorów, z której wyszło wielu pisarzy znaczących dla tego gatunku.

Model science fiction, jaki uprawiano na łamach „Młodego Technika", dziś jest już definitywnie zamknięty i wyczerpująco opisany przez krytykę[7]. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ten typ prozy traktowany był przez państwo nieco lepiej niż, dajmy na to, literatura kryminalna lub romanse. Science fiction broniła się swoimi walorami dydaktyczno-popularyzatorskimi, swoim nakierowaniem na „słuszne" tematy, jak podbój kosmosu czy postęp techniczny; sprzyjało jej poparcie, jakiego w czasie wyścigu w kosmos udzielano naukowym fantazjom w „bratnim Związku Radzieckim". Pod koniec lat pięćdziesiątych zaczęto ostrożnie wpuszczać na nasz rynek przekłady klasycznej SF amerykańskiej, obowiązkowo równoważone odpowiednią dawką fantastyki sowieckiej. Pojawiły się pierwsze serie książkowe, na czele z najdłuższą i najbardziej zasłużoną serią „Fantastyka – Przygoda" wydawnictwa „Iskry". W tym samym wydawnictwie ukazało się na początku lat siedemdziesiątych sześć tomów corocznego almanachu *Kroki w nieznane*, redagowanego przez Lecha Jęczmyka. Ponad czterystustronicowy tom za każdym razem prezentował znakomity wybór przekładów i najlepszych tekstów krajowych, uzupełniony szkicami popularnonaukowymi i krytycznymi. Była to właściwie namiastka branżowego pisma, które po wieloletnich, bezskutecznych staraniach miało zaistnieć dopiero w roku 1982. Dzięki *Krokom w nieznane*, trochę także dzięki seriom książkowym, środowisko ożyło, autorzy zaczęli stopniowo wychodzić na szersze wody, próbować swych sił w ambitniejszych zamierzeniach.

Na korzyść polskiej SF tego okresu przemawiał także fakt, iż utrzymała ona stosunkowo wysoki poziom merytoryczny i literacki. Mimo użytkowych zadań i braku ambicji artystycznych nie była piśmiennictwem, które by obra-

[7] Ryszard Handke w pracy *Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki* (Wrocław 1969) definiuje ten model jako „opowieść o cudownym wynalazku". Nakreślony przez niego obraz wyczerpująco uzupełnił Antoni Smuszkiewicz pracą *Stereotyp fabularny fantastyki naukowej* (Wrocław 1980).

żało inteligencję i smak wyrobionego odbiorcy. Autorzy musieli równać do wysokich czytelniczych oczekiwań, rozbudzonych i przez Lema, i przez przekłady. W sytuacji, gdy można było przełożyć i wydać zaledwie ułamek procenta tego, co by wydać należało, zarówno z amerykańskiej klasyki, jak i z SF rosyjskojęzycznej wybierano wówczas do prezentacji dokonania najlepsze, samą śmietankę. W początkach lat siedemdziesiątych, na tle ówczesnego pejzażu kulturalnego PRL, SF okazała się ofertą ciekawą także dla twórców pragnących czegoś znacznie więcej niż tylko postawienia w zbeletryzowanej formie śmiałej hipotezy.

CIENIE I BLASKI

Podczas rozmowy prowadzonej w telewizyjnym filmie o historii polskiej SF Zbigniew Przyrowski zwrócił moją uwagę na niezwykle ważną okoliczność, może jedną z głównych, z racji której science fiction w Polsce stała się czymś innym niż na Zachodzie. Otóż w latach, kiedy „Młody Technik" rozpoczynał promowanie rodzimej SF, środowisko polskich adeptów nauki i techniki było w ponadnormalnym stopniu nasycone ludźmi o zainteresowaniach humanistycznych i literackich. Zapowiadało się, że komunizm będzie trwać jeśli nie wiecznie, to w każdym razie jeszcze przez kilka pokoleń. Młodzi ludzie, wychowywani przez swe rodziny w tradycji patriotycznej, wchodząc w tym czasie w dorosłość, szukali sposobu przeniesienia przez nią w miarę czystego sumienia. Studia humanistyczne, sprowadzone do marksistowskiej indoktrynacji, nie dawały na to szansy, natomiast politechniki i nauki ścisłe, płacące znacznie mniejsze serwituty panującej ideologii, były dla nich drogą bezpieczniejszą, którą wybierali często nawet instynktownie.

Ta swoista pokoleniowa formacja inżynierów i naukowców z historycznego przymusu przyjęła science fiction ze szczególną sympatią, jako znakomity sposób dawania w wolnym czasie upustu literackim ciągotom, niejako na marginesie aktywności zawodowej. Z czasem pojawiła się pokusa, by w tych relaksujących opowiastkach przemycić także coś z siebie, coś z prawdziwych emocji i ważnych dla autora przemyśleń. Z dzisiejszej perspektywy łatwiej ten proces prześledzić. Wówczas przebiegał on bardzo powoli, wymagania stawiane fantastyce przez wydawców praktycznie nie zostawiały miejsca na „wypisanie się", nie było tradycji ani wzorców, które by do tego zachęcały – sam fakt, że w ogóle tak można, stawał się dla kolejnych autorów wielkim odkryciem. Mimo to wertując stare roczniki pisma można dostrzec, jak w miarę upływu czasu klasyczna SF w polskim wydaniu stopniowo „mądrzała", nabierała wyrafinowania, także formalnego.

Lata siedemdziesiąte przyspieszyły tę ewolucję. W życie weszło kolejne pokolenie zainteresowanych literaturą młodych naukowców i inżynierów, ob-

ciążonych doświadczeniem Marca i Grudnia, przytłoczonych życiem w schizofrenicznym świecie postępującego rozkładu, maskowanego propagandą sukcesu. Science fiction była dla tej grupy pokoleniowej poważną ofertą przedarcia się ze swoimi uczuciami i myślami do odbiorcy[8]. Była literaturą żywą, zapładniającą intelektualnie. Wprawdzie książka *1984* Orwella pozostawała na indeksie, ale funkcjonowały na rynku dzieła takie, jak: *451⁰ Fahrenheita* Bradbury'ego, *Non stop* Aldissa czy *Drugi najazd Marsjan* Strugackich. Pokazywały one, że SF może być również metaforą świata realnego, może ponad swoje podstawowe funkcje pełnić także rolę języka artystycznego. Zaczęto pisać inaczej; styl „Młodego Technika" przestał być jedynym i najlepszym. Głównym ośrodkiem polskiej SF stał się na pewien czas – do czasu powstania „Fantastyki" – studencki dwutygodnik „Politechnik", z którego wyszło wielu czołowych autorów gatunku.

Pojawił się wreszcie trzeci czynnik, zdecydowanie zmieniający obraz polskiej fantastyki – zorganizowany ruch jej miłośników. Pod koniec lat siedemdziesiątych kluby fanów SF w całej Polsce skupiały kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt tysięcy osób, głównie uczniów i studentów. Pojawiły się polskie fanziny i ogólnokrajowe imprezy, zaczęto przyznawać fanowskie nagrody. Kluby stały się sposobem życia i dostarczały umysłowego fermentu[9]. Sam jestem jednym z ich wychowanków i pamiętam, jaką rolę w kształtowaniu moich gustów i poglądów odegrały cotygodniowe spotkania i nie kończące się dyskusje w warszawskim „Sfanie" i na konwentach. Moja opinia może zostać uznana za nieobiektywną, twierdzę jednak, że kluby fantastyki odegrały dla części mojego pokolenia taką samą rolę kulturotwórczą, jaką dla pokoleń poprzednich STS czy „Bim-Bom".

Lata siedemdziesiąte przyniosły także niezwykły wzrost liczby czytelników fantastyki. Na ówczesnym rynku nie było właściwie nic „do czytania", SF zastępowała więc nieobecnych MacLeanów i Ludlumów. Zastępowała także nieobecną literaturę współczesną, reagującą na realia życia. Książki były stosunkowo tanie, zresztą wobec charakterystycznego dla wysoko rozwiniętego socjalizmu zjawiska, jakim był chroniczny brak towarów w sklepach, nie było na co wydawać tracące z dnia na dzień na wartości pieniądze. Książki SF, bez

[8] Ten proces wyczerpująco opisał Maciej Parowski w eseju *Kilkunastu Hamletów* (w: M. Parowski, *Czas fantastyki*, Szczecin 1990).

[9] Jak zauważył Stanisław Lem opisując fandom zachodni, kluby fantastyki ściągały często ludzi na różne sposoby w swoim środowisku wyobcowanych, nie znajdujących z nim wspólnego języka. Trochę podobnie było i w polskim fandomie – dla mojego pokolenia kluby były swego rodzaju wspólnotą odmieńców, okularników i marzycieli, znajdujących w literaturze, nie tylko fantastycznej, odpowiedź na swoje poszukiwania, podczas gdy ich rumiani i wolni od bólu istnienia rówieśnicy woleli zbierać się raczej na dyskotekach i boiskach. Wydaje mi się to warte zaznaczenia, bo literatura w znacznej mierze jest właśnie dziełem odmieńców i dlatego też znaczenie fandomu było większe, niż wynikałoby to tylko z jego liczebności.

względu na autora, tytuł i zawartość, sprzedawano na pniu: trudno rzec, jakie mogłyby wtedy być ich nakłady, gdyby nie ustalano ich odgórnie przydziałami papieru. Sprzedanie dwustu, trzystu tysięcy egzemplarzy powieści złej, nudnej, czasem wręcz nie dającej się czytać, nie wydawało się wówczas problemem.

Ogromnie to polskiej fantastyce zaszkodziło. Stała się wręcz wymarzonym polem dla każdego, kto tylko umiał nagryzmolić parę zdań i miał znajomych mogących załatwić druk. Wiązały się z nią wielkie, jak na owe czasy, i niewyobrażalnie łatwe do zarobienia pieniądze. O ile wcześniej SF wydawana była rzadko, ale trzymała wysoki poziom, tak teraz dzieła ważne i autorzy z prawdziwego zdarzenia dosłownie zginęli w masie koszmarnych chałtur, bezwstydnej grafomanii, powielanych do obrzydzenia schematów. Czołowym wydawcą krajowej SF stał się partyjny koncern Krajowa Agencja Wydawnicza, bodaj jedyny wówczas mający zawsze pod dostatkiem papieru[10], gdzie człowiek odpowiedzialny za wydawnictwa z dziedziny fantastyki nie krył nawet swego poglądu, iż wystarczy, by na jakimkolwiek poziomie lokowała się co dziesiąta wydana w jego serii książka. W rzeczywistości jednak przyzwoitego poziomu nie osiągała nawet co dwudziesta pozycja.

Co gorsza, w ówczesnym życiu kulturalnym, całkowicie zdominowanym przez „układy" i „dojścia", najbardziej beznadziejne chałtury okazały się mieć najznakomitsze recenzje. Powstały potężne koterie wzajemnie się wspierających autorów, wydawców i tak zwanych działaczy, powiązanych partyjno-towarzyskimi układami korumpującymi krytyków. Na wielkich pisarzy zaczęto hałaśliwie lansować kompletnych grafomanów, publikacjom, będącym popisem złego smaku i pisarskiej nieporadności, towarzyszyły napuszone i głupie, pseudokrytyczne szkice, okrzykujące te wypociny jakąś nową, wielką jakością i trąbiące „koniec ery Lema". Bardzo to wszystko odpychało środowisko literackie, które jeśli nawet było w pierwszej chwili ciekawe zjawiska, nie mogło nie nabrać szybko wobec niego dystansu. Zwłaszcza że dokonania naprawdę interesujące, autentyczne były w takiej sytuacji rynkowej niedostępne dla nikogo, poza zapalonymi zwolennikami wykupującymi je dosłownie spod lady. Nie wyłuskiwały ich także rządzone układami i zresztą wkrótce już przez nikogo nie traktowane poważnie recenzje. Nastąpiło w polskiej literaturze fantastycznej niezwykłe rozszczepienie: z jednej strony wtedy właśnie zaczęła ona sięgać wyżej niż kiedykolwiek, przekształcać się w artystyczny język, anektować nowe tradycje; z drugiej zaś ten jej nurt przysypany został grubą warstwą hałaśliwej chałtury, znikając zupełnie z pola widzenia i zainteresowań uczestników tak zwanego życia literackiego.

---

[10] Podstawowy nakład KAW wynosił 150 tysięcy egzemplarzy i na przełomie dekad 70-80 rozchodził się przez około dwa miesiące. Często następowały po nim dodruki, do trzystu tysięcy. W tym samym czasie „Czytelnik" czy „Iskry" wydawały fantastykę w nakładach 30-40 tysięcznych.

NOWE POKOLENIE

Polska literatura fantastyczna przeszła ten okres bez szczególnych strat tylko dzięki temu, iż udało się jej na taką sytuację odpowiedzieć stworzeniem własnego, alternatywnego życia literackiego. Tym właśnie niezależnym salonem literackim stał się na przełomie dekad 70-80 fandom. Kreował on swoją literacką hierarchię, kontestując zarówno obojętność oraz niekompetencję krytyki głównego nurtu, jak i szalbierstwa oficjalnych zarządców fantastyki z nominacji wydziału kultury KC. Wyrazem tej hierarchii były przyznawane spontanicznie nagrody, pełne ognia i jadu recenzje ukazujące się w fanowskich drukach oraz frekwencja na spotkaniach autorskich. W klubach SF aktywnie działała większość pisarskiego narybku, wówczas jeszcze nastolatków, którzy za lat dziesięć mieli ukształtować zupełnie nowe oblicze polskiej fantastyki. Bez tego własnego, osobnego życia literackiego, dokonania posuwające SF do przodu i przydające jej pisarskich walorów mogłyby przejść nie zauważone, zginąć w masie, nie znajdując ani uczniów, ani kontestatorów.

Sukces ilościowy lat siedemdziesiątych przyciągnął rzesze czytelników i entuzjastów SF zupełnie innego rodzaju niż dotąd. Byli to najczęściej ludzie młodzi, wcale nie związani z nauką czy techniką, zupełnie nie zainteresowani sprawami, w których Campbell czy Przyrowski upatrywali jedyny sens fantastyczno-naukowego pisania. Kosmiczne pejzaże, skoki w czasie i inne atrybuty naukowej fantazji były dla nich istotne jedynie jako pożywka dla wyobraźni, także jako język metafory, skrótu, hiperboli, pozwalający oderwać się od szarej i odrażającej rzeczywistości stanu wojennego.

Przełom dekad był w polskiej fantastyce momentem wspaniałego, niepowtarzalnego spotkania trzech pokoleń. Przedstawiciel „inżynierów z przymusu", Janusz A. Zajdel, złapał nagle, jak to określiła kształtująca się wówczas wewnętrzna krytyka SF, „drugi oddech", publikując – z wielkimi kłopotami i perturbacjami – serię Orwellowskich, antykomunistycznych powieści, nazywanych wówczas „socjologicznymi"[11]. Sekundowali mu w tym rówieśnik Edmund Wnuk-Lipiński i autorzy z „Politechnika"[12]. Rzecz charakterystyczna: z wyznań autorów wynika, że zamiarem każdego z nich było napisać kolejną, klasyczną powieść SF, osnutą wokół naukowego bądź technicznego konceptu.

---

[11] Był to oczywiście eufemizm. Stosowniejsza nazwa „fantastyka polityczna" brzmiałaby wówczas jak donos.

[12] Do czołówki „fantastyki socjologicznej" przełomu dekad zalicza się powieści: Janusza A. Zajdla *Cylinder van Troffa*, *Limes inferior*, *Wyjście z cienia*, *Cała prawda o planecie Ksi*, *Paradyzja*; Edmunda Wnuka-Lipińskiego *Wir pamięci*, *Rozpad połowiczny*, *Mord założycielski*; Marka Oramusa *Senni zwycięzcy*, *Arsenał*, *Dzień drogi do Meorii*; Macieja Parowskiego *Twarzą ku ziemi*; Wiktora Żwikiewicza *Druga jesień*.

Dopiero podczas pracy pojawiała się pokusa innego pokierowania wątkami, wzbogacenia treściami dotąd w SF nieobecnymi.

Te właśnie nowe treści okazały się spełniać oczekiwania gwałtownie zmieniającego się kręgu odbiorców. W fandomie fantastyka socjologiczna wywołała entuzjazm. *Limes inferior* i *Wir pamięci* okazały się prawdziwym objawieniem – w początkach lat osiemdziesiątych chyba nie było fanowskiej imprezy, na którą nie zapraszano by Zajdla i na której nie byłby on oblegany. Podobną popularność w fandomie zyskał sobie wówczas Marek Oramus, bardziej „gorący" od Zajdla w swych tekstach, piszący potocznym, żywym językiem, zrywający ostatecznie z bezpłciowością i bezbarwnością bohaterów klasycznej SF.

Ostatecznym dowodem zmiany była fala debiutów, jaką przyniosły lata osiemdziesiąte – fala znacząca już choćby tylko przez swe rozmiary, obejmująca w ciągu dekady kilkuset młodych autorów i parę tysięcy tekstów. O ile „fantastyka socjologiczna" rozsadzała Campbellowską konwencję (to znaczy spełniając jej wymogi, nasycała ją nowymi treściami), to młoda fantastyka lat osiemdziesiątych konwencję tę po prostu łamała i odrzucała. Naukowe prawdopodobieństwo, hipotezy, perspektywa całej cywilizacji – wszystko to poszło w kąt, a zastąpione zostało „odjazdem", wizją, metaforą, snem. Tradycyjne, inżyniersko-naukowe środowisko miłośników SF znalazło się teraz w zdecydowanej mniejszości. Fantastykę pisało się tak, jak się pisze młodzieńcze wiersze – po to, by podzielić się swoimi odczuciami, obawami, aby „odreagować" rzeczywistość[13]. Różnorodność podejmowanej tematyki i autorskich strategii czyni praktycznie niemożliwym opisanie zjawiska w tak krótkim i z konieczności zwięzłym tekście[14]. Znaczącą rolę w tej młodej literaturze odegrała poetyka, którą Lech Jęczmyk nazwał żartobliwie „fantastyką w stylu punk". Pojawiły się próby podobne do brytyjskiej szkoły „kosmosu wewnętrznego" („inner space"), idące w stronę surrealizmu, malowania „krajobrazów duszy". Pojawiła się też na szeroką skalę konwencja fantasy: z czasem doczekała się ona swojego polskiego mistrza w osobie Andrzeja Sapkowskiego, autora, któremu konwencja ta posłużyła do mogącej funkcjonować na różnych poziomach kulturowej gry archetypami i tradycjami.

Może się wydawać, że autorzy fantasy czy horroru, także ci, których fantastyka przypomina znacznie bardziej eksperymenty nadrealistów niż dokonania

---

[13] Ta utrata wzorców i kryteriów klasycznej SF miała także swoją złą stronę. Stanowiły ją m.in. teksty nazwane przez wewnętrzną krytykę „antyimportowymi", fala dość bezmyślnych naśladownictw MacLeana, pakowanych dla łatwiejszej sprzedaży w kostium i scenerię SF. Pod koniec lat osiemdziesiątych ta fala zdawała się przytłaczać młodą fantastykę, jednak zalanie rynku prawdziwą, zachodnią produkcją sensacyjno-kryminalną położyło jej istnieniu gwałtowny kres.

[14] Wyczerpujący opis znaleźć można w eseju Macieja Parowskiego *Czary mary punk bang!* (w: M. Parowski, *Czas fantastyki*).

autorów ze „stajni" Campbella, niewiele mają do zawdzięczenia Zajdlowi czy Oramusowi. Nie byłoby to prawdą. Znaczenie fali „fantastyki socjologicznej" z początku lat osiemdziesiątych daleko przekracza jej bezpośrednie kontynuacje, których zresztą nie było zbyt wiele. Jej rewolucyjność nie polegała, co sugerują niektórzy krytycy, na kabaretowym łypaniu okiem do widza i przemycaniu politycznych aluzji. Nie, zasługą Zajdla i innych było pokazanie, że można w tej konwencji pisać o sobie i o swoim świecie, że można w niej zawrzeć to, co stanowi prawdziwe, odczuwane na co dzień udręczenie duszy. Dla Zajdla tym udręczeniem był komunistyczny reżym. Dla aktywnych dziś na rynku pisarzy fantastyki tematem wartym wyspowiadania się przed czytelnikami może być wszystko – rozterki i poszukiwania religijne (jak na przykład u Jacka Dukaja), poczucie upadku wartości i katastrofalnego zdziczenia postmodernistycznej cywilizacji (Jacek Inglot, Mirosław P. Jabłoński), niemożność dochowania wierności tradycyjnym, męskim cnotom (Andrzej Sapkowski), roztrząsania historiozoficzne (Konrad T. Lewandowski) czy poszukiwanie w sobie samym freudowskiej bestii, tylko z pozoru liczącej się z jakimikolwiek normami kultury czy religii (Feliks W. Kres). W każdym przypadku takie, a nie inne użycie metody fantastyki nie byłoby możliwe, gdyby nie owo niezwykłe spotkanie oczekiwań i potrzeb trzech pokoleń, jakie dokonało się na terenie fantastyki w końcu lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych.

SZCZELINA W PRZYSZŁOŚĆ

Dowodem niepodważalnym jest tu fantastyka na Zachodzie. W liczącej sobie ćwierć miliarda obywateli ojczyźnie SF, Stanach Zjednoczonych, żaden z kilku istniejących magazynów SF nie przekracza jednorazowego nakładu 30 tysięcy egzemplarzy (większość utrzymuje sprzedaż na poziomie kilku tysięcy). Na tym tle Polska, z drukowaną dziś w siedemdziesięciu tysiącach egzemplarzy „Nową Fantastyką" i w dwudziestu tysiącach „Feniksem", z kilkoma krajowymi powieściami i około stu opowiadaniami wydawanymi co roku, wygląda imponująco. Ani w Ameryce, ani w zachodniej Europie fantastyka nie jest uważana za język artystyczny. Ci spośród jej autorów, którzy przełamali stereotypy, funkcjonują w „normalnym" obiegu literackim, bez etykiety „fantasy & science fiction". Etykieta ta zarezerwowana jest dla komercyjnych widowisk w typie *Star Trek* czy *Dnia niepodległości*.

W Polsce, jak napisałem na wstępie, lekceważący stosunek do fantastyki i jej nieznajomość wyszły jej na dobre. W początku lat osiemdziesiątych jeden z fandomowych znajomych cytował mi słowa, jakimi dyrektor osiedlowego domu kultury uzasadniał „przygarnięcie" klubu SF: „To bzdury, ale lepiej, żeby się młodzież zajmowała bzdurami, niż ma rzucać kamieniami w milicję". Podobnie myśleć musieli towarzysze z KC, decydując się w 1982 roku na

wydawanie „Fantastyki". Jeszcze kilka lat później wciąż wyobrażali sobie, że pismo to będzie publikować bezpieczne, popularnonaukowe historyjki w stylu „Młodego Technika" z lat sześćdziesiątych. Bardzo się pomylili. Fantastyka była w PRL szczeliną, w której znaleźli azyl ludzie twórczy, zatroskani teraźniejszością i przyszłością, nawykli do analizowania różnych historycznych sytuacji i oglądania świata z różnych punktów widzenia. Dzisiaj ten zgromadzony wówczas ludzki i intelektualny kapitał procentuje.